Nr. 47. We Lwowie dnia 22. listopada 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



(Wiersz, wygłoszony na uroczystem przyjęciu poetki w Kole literackiem).

Za co, za co tyle cześci?
Za co to witanie?
Za siew tylko dobrej wieści,
Wy — kłosy na łanie.
Ja ptak tylko, co wam śpiewa,
Wy — owocne drzewa,
Ja — głos dzwonka, na rozświcie,
A wy — czyn i życie!

Wasza wola — moja dola,
Mojej pieśni tony...
Jak skowronek lecę w pola,
Lecę nad zagony.
Pieśń się moja skarży, płacze,
Kiedy śpią oracze,
A gdy brzęczą pługi, kosy
Śpiewa wniebogłosy!

Gdyby piosnce brakło echa
W żywej piersi brata,
Dawno zgłuchłaby nam strzecha,
Oniemiała chata...
Pieśń jaskółcze gniazdo winie
W serdecznej drużynie,
Pieśń tam rada pióra składa,
Gdzie bratnia gromada.

Zawitajcież wy mi wzajem,
Wy — i wasze progi!
Idę światem, idę krajem,
Jak pątnik ubogi.
Za tą jasną idę zorzą,
Gdzie na przyszłość orzą,
Za tą gwiazdą, za nadzieją,
Gdzie dla jutra sieją.

Daliście mi w swej gościnie
Chleb i wino ducha...
W waszym chlebie, w waszem winie,
Jest moc i otucha:
Nie zmarnieje wasza praca,
Gdy ją pieśń ozłaca.
Pieśń — nie zmilknie w poniewierce,
Gdzie jest wasze serce!

Marja Konopnicka.

O kwestji tak zwanej „kobiecej"

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Cały ten stos tak zwanych faktów dowodowych, który posiadamy obecnie, zdał się wprawdzie na to, ażeby przy jego pomocy — mógł kuchmistrz jaki dowieść, że żadna kobieta nie jest zdolna z równą artystycznością »ugarnirować« półmiski, jak on to uczynić potrafi, albo służyć też może dla adeptów kunsztu hipokratesowego, by mogli utrzymywać z namaszczeniem: »że ścisła rozwaga, głęboki krytycyzm, stanowczość postanowienia, krew zimna, konsekwencja w stosowaniu metod leczniczych, a przytem wielki objektywizm, ale przedewszystkiem samodzielność pomysłu i czynu«, czyli te wszystkie przymioty, które ma rzekomo posiadać każdy Eskulap płci męskiej — »są właściwościami mniej reprezentowanemi w umysłowości u kobiet«. Ale też za to ten materjał dowodowy, o którym mowa, nie może się nadawać dla celów jakiejkolwiekbądź dysputy na serjo prowadzonej *).

Wszelkie dotychczasowe próby podziału wyższych właściwości psychicznych ludzkich na męskie i żeńskie na nic się nie zdały, możemy co najwięcej powiedzieć, że przymioty altruistycznej natury noszą na sobie głównie charakter kobiecości, zaś właściwości egoistycznej natury mają przeważnie cechę męskości. (C. d n.).

---

*) Podobne zapatrywanie do wyżej przytoczonego w cudzysłowie, a do tego oparte na faktach dowodowych, tejże samej natury wypowiedział i Max Wolff, twierdzi on bowiem jak następuje: »Zamiast zwracać się do zawodów, w których mogłyby przynieść pożytek i sobie i ogółowi, panie rzucają się na wszechnice, chcą koniecznie zdobywać stopnie doktorskie, a przedewszystkiem pragną poświęcać się medycynie, umiejętności, czy zawodowi, bądź co bądź dla nich bardzo niestosownemu... przedewszystkiem... z wielu powodów, które przemawiają przeciwko dopuszczeniu kobiet jako lekarzy, najważniejszymi są względy oportunistyczne i względy celowości, oraz użyteczności«. Względy, o których mowa, mają być według autora takie 1) »Wszechnice są przepełnione, zapotrzebowanie lekarzy już z góry na lata jest pokryte.. powiększeniu proletarjatu trzeba się stanowczo sprzeciwić zarówno w interesie tej *„La plus noble des proféssions et le plus vil des métiers"*, jak i w interesie młodych pań, poszukujących nowej gałęzi zarobku«. 2) »Studjowanie medycyny, a jeszcze bardziej wykonywanie zawodu lekarskiego jest połączone z wielkimi wysiłkami fizycznymi, których kobieta nie zdoła znieść przez czas dłuższy«.. 3) »Kobiety posiadają bądź co bądź więcej tkliwości, aniżeli mężczyźni, gdy więc pacjentka zacznie płakać i narzekać, kobieta lekarz zawaha się i zaniecha jakiejś energicznej, a bolesnej operacji, która, zastosowana w czasie właściwym, byłaby jedynym ratunkiem... 4) W sali szpitalnej niema miejsca dla żywiołów miękkich i mało opornych, gdyż często tylko przez okrzyczany »brak serca« lekarzy, przez ich rzekomą brutalność i mniemany »brak serca« zapobieżono niejednokrotnie niezmiernemu nieszczęściu«. Po przedstawieniu rzeczonych dowodów na to, że medycyna dla kobiet jest niestosowna, autor daje od siebie im rady i powiada: »Czy istotnie wszystkie inne zawody, tak stosowne dla działalności kobiet, są przepełnione już do niemożliwości. Nie! szlachetny zawód dozorowania chorych wcale nie cierpi na nadmiar kandydatek... Tymczasem bardzo tylko drobna garść kobiet, z tzw. dobrego domu decyduje się pójść na ową drogę. Jeszcze jeden zawód, bardzo zbliżony do lekarskiego, a potrzebujący przymieszki lepszych, tudzież oświeceńszych żywiołów, wybornie się nadaje na arenę pracy kobiecej. Mam tu na myśli akuszerję. Do tej pory akuszerki rekrutują się, niestety, z niższych klas społecznych, w czem właściwie tkwi powód, że kobiety wykształcone nic nie chcą o tym zawodzie wiedzieć«.

Rady i poglądy przytoczone powyżej, a które autor roztacza obszernie na str. 136 do 139 swej pracy, przypadły widocznie do przekonań naszych ziomków, skoro uważali za potrzebne przełożyć je na język polski, ma się rozumieć, że ku pożytkowi płci nadobnej; sądzę więc, iż nie będzie rzeczą zbyteczną, tu na tem miejscu rozważyć rzeczone uwagi i rady nieco dokładniej, szczególnie zaś ze względu na stosunki bliżej nas obchodzące.

I tak 1) Wszechnice u nas nie są przepełnione jeszcze, a stąd zapotrzebowanie lekarzy dotąd jest bardzo wielkie, mamy całe obszary wiejskie, gdzie niema żadnych lekarzy, a tem mniej lekarzy sumiennych, dbających o dobro swoich pacjentów, a jakimi to lekarzami zechcą być niezawodnie kobiety, poświęcające się medycynie. Lekarze kobiety w Polsce, o ile sądzić można z tych, które praktykują dzisiaj u nas, i sądząc z charakteru niewiast naszych, nie będą należały nigdy do proletarjatu medycznego, owszem stanowią one już teraz i stanowić będą w przyszłości arystokrację w tym zawodzie, bo opierają i opierać będą studja swoje na pracy sumiennej, a praktykę swoją na niedoścignionych przez płeć męską uczuciach altruizmu i delikatności.

2) Jeżeli od studjów medycyny i od wykonywania zawodu lekarskiego powinien powstrzymać kobiety wzgląd na brak sił fizycznych, to nie rozumiem, jak autor mógł im zalecać zawody dozorczyń i akuszerek, bo właśnie te zawody potrzebują wielkiej oporności i wielkiego zasobu zdrowia i sił fizycznych, o wiele większych, niż zawód lekarza praktykującego, łatwiej jest bowiem przyjechać do chorego, obejrzeć go, zapisać receptę i wrócić do klubu na winta lub pogadankę, aniżeli bezsennie przepędzać całe nocy u łóżka chorego. Co do trudów zajęcia akuszerek, to chyba o tem niema co mówić, bo każdy wie, że one stokroć więcej zużywają sił fizycznych i moralnych przy jednym połogu, niż lekarz akuszer przy dziesięciu, a pomimo to jednak wynagradzane bywają w stosunku do tego ostatniego bardzo mizernie, przyczem zapominać jeszcze nie trzeba o tem, że często cierpi ich godność ludzka, będąc wystawiona na dotkliwe razy wobec bardzo często przytrafiającej się niecierpliwości, niewyrozumiałości i niedelikatności lekarzy akuszerów, którzy nieraz spędzają zły humor

Fryderyk Smetana.

—

Jego życie, dzieła i znaczenie.

(Dokończenie).

Warto przebiedz rozwój myśli muzycznej tego cyklu. W poemacie pierwszym, »Wyszehradzie«, cofa się kompozytor myślą w czasy, kiedy to na skale wyszehradzkiej rozbrzmiewały dźwięki lutni Lumira, kreśli obraz życia, jakie wrzało na zamku królów czeskich, jego zamarcie po bojach nieszczęsnych i dzisiejszą pustkę, nad którą tylko lutnia Lumirowa płacze. W drugim — »Wełtawie« prowadzi nas w las szumawski; słyszymy szmer dwu potoków, ciepłego a wartkiego i chłodnego a spokojnego; oba zlewają się i odtąd królowa rzek czeskich towarzyszy nam przez bory i knieje (motyw łowiecki), przez łąki i wioski (motyw taneczny), popod mury grodów zapadłych (motyw rusałek), a przebiwszy się przed świętojańskie prądy, szerokiem korytem rozlewa zię u stóp Wyszehradu (motyw nru 1.) i ginie w oddali. Ideą numeru 3. »Szarka« jest powieść ludowa o czeskiej amazonce, nasuwająca się myśli kompozytora na widok okolicy, zwanej imieniem tej nieprzyjaciółki mężczyzn.

Maluje więc nam Smetana dźwiękami gniew Szarki, ból i żądzę zemsty za miłość zdradzoną, przybycie rycerza Ctirada do lasu na łowy (marsz A–mol), upojenie, jakiemu ulega wobec wdzięków podstępnej dziewy, która upoiwszy orszak rycerski, wydaje wszystkich na rzeź swym towarzyszkom. Ale i bez tych tragicznych momentów podaniowych wrażenie przyrody ojczystej jest dość potężnem, by natchnąć mogło mistrza. Oto w piękny dzionek letni staje wśród łęgów rozkwitłych i raduje się życiem, wrzącem na nich; stąd wpada do cichego gaju, gdzie szum drzew, coraz potężniejący, zlewa się w chór nieustanny z świergotaniem ptactwa; w ten hymn przyrody miesza się też róg łowiecki; wreszcie wdziera się tu z łęgów fala potężna wiatru, przynosząc z sobą oddźwięki śpiewów wieśniaczych, przy których akompanjamencie odbywają się tany; wszędzie rozbrzmiewają ludowe pieśni czeskie. Oto treść nru 4 »Z czeskich łęgów i gajów«.

W dziejach czeskich husytyzm stanowi punkt świetlany, a chorał: »Ktoście, boży wojownicy!« wskrzesza przed oczyma Czecha całą przeszłość wielką i jasną. Nic dziwnego zatem, że na tej pieśni zbudował Smetana swój »Tabor« (nr. 5. cyklu), by następnie dołączyć do tej reminiscencji nadzieję lepszej przyszłości, związanej z wiarą ludu w śpiących w Blaniku rycerzy i »Blanikiem« (nr. 6.) zakończyć radośnie cykl cały.

---

na nieszczęśliwych ofiarach swego powołania, raczej swego rzemiosła, bo nauka akuszerji, tak jak ją wykładają dla akuszerek, na nazwę nauki nie zasługuje wcale. Jak tedy wymagać można, jak radzić, ażeby kobiety wykształcone zajęły się akuszerją, która się dzisiaj zasadza w całości na rzemieślniczym rękoczynie — jest dla mnie rzeczą niepojętą.

Następnie od zawodów, o których mowa, powstrzymywać musiał dotąd kobiety wykształcone wzgląd na cynizm samczy, którym się odznaczało, niestety, wielu pp. doktorów nauczycieli i wielu doktorów ordynatorów w szpitalach. Podczas moich studjów medycyny na kilku uniwersytetach, miałem nieraz sposobność być świadkiem takich płaskich konceptów i takich scen gorszących, że prędzej dziwić byłbym się musiał odwadze kobiet, które się ośmielały przy warunkach ówczesnych poświęcać się zawodowi dozorczyń szpitalowych albo akuszerek, aniżelibym śmiał im robić zarzuty z tego powodu, że od tych zawodów stroniły. Wtedy tylko kobiety wykształcone byłyby mogły, zdaniem mojem, poświęcać się bez ujmy dla swej godności na dozorczynie i na akuszerki, gdyby nauczycielami, ordynatorami w szpitalach i lekarzami akuszerami były kobiety. Ostatecznie jeżeli siła fizyczna miałaby wszędzie służyć za podstawę dla sprawiedliwego podziału zajęć pomiędzy kobietami i mężczyznami, to z pewnością pierwsze musiałyby być budowniczymi, a znowu ci ostatni musieliby dźwigać cebry z wapnem po rusztowaniach budujących się kamienic.

3) Powodem do usunięcia kobiet od zawodu lekarskiego ma być według autora »tkliwość« charakteru niewieściego, ale tkliwość u wykształconych osobników rodzaju ludzkiego bywa zawsze kierowana rozumem i wolą, a obu tych przymiotów odmówić nie zechce kobietom i M. W. Nadto przywieźć tu muszę bardzo słuszne zdanie S. Mill'a: że często widzimy u kobiet takie przymioty, które są wręcz przeciwne tym, jakie się im przypisywać przyzwyczajono. *Il faut remarquer aussi* powiada on: *que les femmes se sont souvent distinguées par les qualités les plus opposées au caractère imaginaire et conventionnel qu'on attribue à leur sexe: elles ont été aussi remarquables par leur fermeté et leur vigueur... que par leur intelligence* (str. 119). Ale nietylko kobiety wykształcone umieją skutecznie panować nad swoją »tkliwością«, owszem kobiety z ludu okazują taką siłę woli, której im pozazdrościć może niejeden mężczyzna. To zdanie moje potwierdzić może przykład następujący: Dr. Fiodorów, lekarz powiatowy na Kamczatce, nie zdołał nigdy w swem życiu pokonać obawy przed najprostszą nawet operacją, nie tknął on nigdy żadnego narzędzia chirurgicznego, bo już samego widoku krwi znieść nie mógł. Gdy się więc do niego zgłosił razu pewnego Kamczadal z prośbą, o odjęcie zgangrenowanego palca, musiał odmówić mu swej pomocy, a zrozpaczonemu tą odmową choremu zrobiła operację jego własna żona, i to za pomocą wypożyczonej od sąsiadów brzytwy. Mamy tu przykład nierozsądnej tkliwości, której nie umiał pokonać mężczyzna i lekarz, a z drugiej strony mamy przykład rozsądnej tkliwości, kierowanej siłą woli u prostej wieśniaczki. Podobnych przykładów mógłbym przytoczyć wiele, ale ograniczę się tylko do następujących. Znałem dwóch lekarzy Polaków, którzy żadnej w swem życiu nie wykonali operacji, bo się »bali krwi«, a jednak jeden z nich miał renomę znakomitego praktyka i owocem czynności lekarskiej jego są ob-

Praca nad tym pomnikiem, trwalszym od spiżu, jaki Smetana postawił cyklem wspomnianym sobie i ojczyźnie, nie pochłaniała go jednak do tego stopnia, żeby nie sypał obok tego innemi kompozycjami dokoła siebie. Chóry, utwory fortepianowe, pieśni i dwie opery komiczne powstały w tymsamym czasie, a nadto oryginalny kwartet smyczkowy »Z mego życia«, odbiegający zupełnie od zwykłej recepty. W kwartecie tym pragnął Smetana dać słuchaczowi obraz swego życia w dźwiękach. Tak więc ustęp I. maluje jego młodocianą skłonność do »romantycznego« (?) melancholijnego, a zarazem namiętnego stylu w muzyce, II. wesołe życie na wsi i w mieście (*quasi polka*), oraz w kołach wyższych (*meno mosso*) i skłonność do podróżowania (*viola à la tromba*) III. miłość szczęśliwą (*largo sostenuto*), IV. radość z odkrycia źródła muzyki ludowej, powodzenie na drodze wprowadzenia jej w utworach własnych, przezwane katastrofą (wysokie E). Arcydzieło to muzyki egotycznej spotkało wszechstronne uznanie zagranicą, jak świadczą listy Liszta, koncertmistrza Kömpla (ucznia Spohra), Lemoine'a i innych, którzy je grali lub słyszeli wykonanem. Dalszy ciąg tej spowiedzi artystycznej, wcielony w kwartet drugi (D-mol), w l. 1882—83, przedstawia wir motywów w głowie człowieka, który słuch stracił, a przedstawia go nietylko z woli kompozytora, lecz także z woli smutnej choroby, która coraz bardziej w mózg się wpijała.

Wspomniałem o dwu operach z okresu 1874—79. Są nimi »Pocałunek« i »Tajemnica«, skomponowane, jak i dwie późniejsze do słów znanej tłumaczki »Pana Tadeusza«, E. Krasnohorskiej. Pierwsza z oper wymienionych, oparta na noweli K. Świetli (przełożonej przez M. Wysłouchową w »Tygodniu« z r. 1894) cieszy się coraz większem powodzeniem u rodaków mistrza, a i we Wiedniu była drugą jego operą, z którą się tam zapoznano. Opera to nawskróś liryczna, a co do charakteru swego typowo czeska. Pełno w niej perełek muzykalnvch. W dziejach zaś muzyki operowej czeskiej stanowi »Pocałunek« epokę zwrotem do poprawnej deklamacji czeskiego słowa w muzyce, o co sam Smetana poprzednio dbał niewiele. To wszystko nie przeszkadza, aby mistrz czeski za swą pracę najlepszą uważał »Tajemnicę« ze względu na jej doskonałą formę muzyczną i największe zbliżenie się w niej do ideału czeskiej opery nowoczesnej, jaki pieścił w swym umyśle. A ideał ten tak określił sam w liście z r 1882 z powodu ostatniej swej opery, przedstawionej na scenie pn. »Czartowa skała«. »Złączenie melodji nawet najprostszych z harmonją, zawsze dobraną odpowiednio, i z przemyślanym planem w budowie, związku i jedności całej opery, jakby w jedną

---

szerne posiadłości ziemskie, któremi włada obecnie. Następnie widziałem dwóch kamczadalów, oprócz wyżej wspomnianego, nad którymi wykonały operacje kobiety, gdy żaden z mężczyzn podjąć się takowych nie chciał.

4) Z sali szpitalnej niema potrzeby rugować miękkich żywiołów, jak tego pragnie M. W. a zasiedlać ją »brutalnością i brakiem serca«, nie tylko »okrzyczanych«, »rzekomych«, według słów autora, ale najczęściej, niestety — rzeczywistych, wstrętnych, nieludzkich. Jeżeli »brakiem serca« zapobieżono wielkim nieszczęściom«, jak twierdzi autor, to większe jeszcze nieszczęścia wywołał »brak serca«, bo, nie mówiąc o innych wielu wypadkach, nadmienić tylko muszę, że ten ostatni wspomniany przymiot pozwala wielu chirurgom traktować chorych, jako przedmiot dla swoich eksperymentów, również przymiot rzeczony pozwala lekarzom wielu wywieszać taksę na drzwiach wchodowych do swoich gabinetów i robić w ten sposób »z najszlachetniejszego zawodu najwstrętniejsze z rzemiosł«. Nadto tenże sam »brak serca«, każe zanikać władzom sumienia, bo pozwala np. ogłaszać różne »specyfiki« za najskuteczniejsze lekarstwa i wyzyskiwać za pomocą nieszlachetnej reklamy nieszczęścia ludzkie. W mojem przekonaniu, mamy konieczny obowiązek zachęcać kobiety do zawodu lekarskiego, a szczególniej do zawodów umiejętnych akuszerów, zaś takimi stać się one mogą jedynie wtedy, gdy odbędą systematyczne studja z całego zakresu wiedzy lekarskiej. Tak felczerowie mężczyźni, jak i akuszerki kobiety kształcą się tylko na rzemieślników zawodowych, otóż od nich nie mamy prawa wymagać, ażeby postęp nauki mieli na celu, również nie mamy prawa żądać, ażeby dorywcze amatorki sztuki malarstwa albo gry na fortepjanie mogły się już dzisiaj szczycić utworami pierwszorzędnymi, dlatego też sądzę, że następujące twierdzenia M. W. są zgoła nieusprawiedliwione.

I tak np. powiada autor cytowany, że »zwolennicy, tudzież obrońcy emancypacji kobiecej odpowiadają zwykle: Wy mężczyźni wykluczyliście kobietę z dziedziny wszelkich zajęć, pozwoliliście przeto zanikać zwolna jej funkcjom umysłowym i organom pracy! Otwórzcie jej przecież arenę na rozcież! zobaczycie wówczas, że kobiety na równi z wami podołają wszystkim zadaniom! — »No! taką próbę już oddawna zrobiono!« woła M. W. i dodaje: »Muzyce, malarstwu, poezji, rzeźbie i akuszerji mogły się kobiety oddawna zupełnie swobodnie oddawać.« (?) »A mimo to ani jedno dzieło sztuki, wykonane przez kobietę, nie stoi ani w pierwszym, ani nawet w drugim rzędzie, równocześnie zaś, jakkolwiek damy nawet za gorliwie poświęcają się muzyce, to mimo to nie stworzyły ani jednej nawet piosenki, która posiadałaby trwałą wartość! Boć kobiety« kończy M. W. »nawet w dziedzinie mody wykazują swą bierność i modę przeważnie tworzy fabrykant przy pomocy rysownika lub malarza«. (str. 137).

Podobne zarzuty już dawno przed M. W. czynione były kobietom, to też już na nie dawno odpowiedział S. Mill w dziele wyżej cytowanem (str 156—159). Autor rzeczony zbija najkategoryczniej wszystkie owe zarzuty, wykazuje gdzie szukać należy przyczyny pozornej niższości kobiet, i wypowiada takie zdanie „*Quand les femmes auront reçu la préparation dont tous les hommes ont besoin pour exceller avec originalité, il sera temps de juger par expérience si elles peuvent ou ne peuvent pas être originales*". (str. 156). Otóż zanim to nastąpi, zanim daną będzie kobietom możność pozyskania

wielką symfonję — a co najważniejsza — w zgodzie z tekstem!« Sam jednak Smetana przyznawał, że styl taki nadawał się tylko do oper czeskich, a nie do wielkich dramatów w rodzaju Libuszy, którą uważał za pierwszą próbę do opery tragicznej Chciał nawet próbować dalej sił swych w kierunku opery dramatycznej, ale przeszkodziła temu śmierć, która go zaskoczyła w ciągu pracy nad romantyczną operą o »Wjoli« (na tle szekspirowego »Wieczoru Trzech króli«) i nad suitą orkiestralną »Karnawałem praskim,« z którego pozostało torso piękne: Introdukcja i polonez.

III.

Nieraz porównywano Fryderyka Smetanę z głośnymi mistrzami innych narodów. Zwano go już to Mozartem czeskim, już też Beethovenem -- zawsze niesłusznie, jak wykazała krytyka trzeźwiejsza, unikająca kategoryzowania umysłów ludzkich w szufladki z etykietami, dobrego w aptekach lub handlach korzennych, a nie w dziedzinie umysłowej.

Smetana zawsze był tylko sobą. Rozwój jego artystyczny był bardzo prawidłowym i przyrodzonym: taniec — symfonja — opera. A z dziesięciu oper jego ledwie dwie czy trzy są dziejowemi lub poważnego zakroju, reszta to opery komiczne, zaczerpnięte z życia ludowego. Zjawisko to pozostaje w ścisłym związku z charakterem Smetany, a w dalszym planie wogóle czeskim, którego cechą znamienną jest wesołość swobodna i humor pogodny. Nie brakło mu zrozumienia dla tragizmu tak, jak i dziejom czeskim nie brakło tego momentu, ale nie dała mu przyroda ekspresji potrzebnej. To też działalność jego szczytu dosięga w operze komicznej. W tej zaś przedstawia się Smetana realistą szlachetnego stylu i ten realizm właśnie czyni go kompozytorem nawskróś czeskim, który jeśli tam przejął nawet zasadę swą od Wagnera, zresztą zawdzięcza wszystko swym studjom i swemu umysłowi. Realizm muzyczny Smetany owiewa jednak czar poezji, który sprawia, że powodzenie jego dzieła mieć muszą wszędzie, gdzie jeszcze zmysłu dla piękna nie zatracono. Muzyka jego wolną jest od tych przypraw, które działają na nerwy i zmysły; pokarm to zdrowy i posilny. To też przyjęcie się muzyki tej w świecie miałoby znaczenie doniosłe, bo wytworzenie stylu i kierunku opery komicznej, któreby wyparły ofenbachjadę i gorsze jej następczynie, dzieci zepsutych miast wielkich. Dobro sztuki wymaga zatem zwycięstwa Smetany. Miejmy nadzieję, że je odniesie.

Dr. Franciszek Krczek.

---

wykształcenia systematycznego i gruntowego, do tego czasu i M. W., i inni jemu podobni autorowie powstrzymać się powinni z sądami, co najmniej przedwczesnymi. Ja z mojej strony na zarzuty M. W. odpowiem paru tylko uwagami.

1) Na Kamczatce, gdzie miałem sposobność obserwować stosunki wielce pierwotnej natury, przyszedłem do przekonania, że wszystkie melodje ludowe tamtejsze są produktem kobiet miejscowych, ale nietylko same melodie, lecz i pieśni wszystkie są również ich dziełem. Znowuż kto zaprzeczyć może, że u nas, jeżeli nie większa część, to przynajmniej wiele melodji, pieśni i baśni gminnych są dziełem kobiet, a o trwałości tych dzieł inteligencji kobiecej świadczą wieki. Następnie wszak wiemy wszyscy, że obecnie jedynymi organami, które przechowują w swem łonie cały zasób skarbów, skąd czerpią swoje natchnienia i poeci i muzycy — są kobiety.

2) Że podwoje do nauki malarstwa i rzeźby wcale nie stały w ten sposób otworem dla kobiet, jak utrzymuje M. W., na to mamy dowodów wiele, wszakże z pomiędzy nich przytoczę tylko jeden, a mianowicie, że dotąd nie można było uzyskać pozwolenia na kształcenie się kobiet w Akademji sztuk pięknych w Krakowie. A wszakże dla tego, ażeby módz stanąć w pierwszym rzędzie pracowników zawodowych, na to są potrzebne długie, systematyczne studja i to pod kierownictwem wytrawnych nauczycieli, nadto, studja takie poprzedzone być powinne gruntownem wykształceniem ogólnem, którego kobiety dotąd nigdzie nie mają.

Rady i uwagi M. W. miały rzekomo na celu dobro kobiet, co zaś o takiej dbałości mężczyzn odnośnie do dobra kobiet sądzić należy, to najlepiej nas w tem względzie pouczyć mogą słuszne uwagi S. Milla, które tu przytaczam. „*De nos jours*“ powiada on: „*le pouvoir tient un langage plus bénin, et quand il opprime quelqu'un. il prétend toujours que c'est pour lui faire du bien. C'est en vertu de ce changement que l'orsqu'on interdit une chose aux femmes, on croit bon d'affirmer, et necessaire de croire, qu'en y aspirant, elles sortent de la véritable voie du bonheur*“. (str. 109). Umysł większej części ludzi, tak jest dzisiaj przesiąkły nawskróś obłudą, że prawie bezwiednie odziewa swoje najbardziej egoistyczne czyny i słowa w szaty altruizmu. Gdyby M. W. i inni, piszący rzekomo w interesie kobiet, zechcieli dokładnie rozważyć, o co im chodzi, gdyby byli poddali szczegółowej analizie tę swoją dbałość o dobro niewiast, to byliby się z pewnością przekonali, że najzwyklejszy egoizm leży na dnie ich rezonowania. Dzisiaj możemy to sobie postawić za zasadę przy naszych sądach, że wszędzie, gdzie mężczyzna pali kadzidła przed wyższością inteligencji męskiej, tam składa on dowód na to, że jest wyznawcą bałwochwalczego kultu dla swej własnej osoby. Nie zdołają ukryć intencji piszącego nawet frazesy w rodzaju takich np.: »jestem raczej wielbicielem, oraz przyjacielem kobiet, zginającym kolano wobec majestatu cnoty i prawdziwej. a szlachetnej kobiecości«... (str. 7), bo niechaj się tylko ten »majestat szlachetnej kobiecości« zjawi przed adoratorem w postaci lekarza, naraz wylezie szydło z worka, i ten, co przed chwilą ubóstwiał kobiecość w formie pięknej służebnicy, potępi ją w postaci lekarza, z obawy przed jej konkurencją.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

5)

(Ciąg dalszy).

Teraz Aleksander odrazu sobie przypomniał zamieć, płaty padającego śniegu, wycie wiatru i na szarem tle tę szarą postać przemarzłą, szronem okrytą, broniącą się ogromną pałką od wściekłej napaści Ajaksa.

— Nie mogłem go puścić... Ciasno... Nas troje: ja, towarzysz i dziecko... Nie mam zwyczaju puszczać nikogo!!! — począł się usprawiedliwiać. — Ale naco odchodził tak daleko?... Wszak wiedział, że o pół mili, nawet bliżej, mieszkają bogaci Jakuci, gdzie i ludzi dużo i domy obszerne...

— W tem właśnie sztuka! Ale posłuchaj pan, co on powie. Cóż powiesz, Pałkin?

— Zimno... — ponuro szepnął badany.

— Zimno?... Siedmdziesiąt wiorst nie zimno, a pięć zimno? — roześmiał się Aleksander.

Zbój obrzucił go spojrzeniem i z nogi na nogę przestąpił.

— Było zimno — powtórzył z uporem. — Mówiłem już, wasza szlachetność, w mieście... — zwrócił się do urzędnika.

— Powtórz!

Zbój milczał.

— Ot, bestja!... Wciąż tak! A czego narobił! czego hultaj narobił!... Od pana na Chatyrbę się powlókł; gospodarzowi kiszki nożem wypruł, żonę pohańbił, piersi jej wyciął, dziecko w ogień wrzucił... Ot jakie bydlę!... A jeszcze komedje — z wzrastającem rozdrażnieniem opowiadał zasiedatiel. — Nim zabił, ofiarom do ziemi się kłaniał: »Wybaczcie, powiada, że niewinnie giniecie!« A teraz wykręca się: od zimna, od drżenia wnętrzności zabiłem!... Skargę podawał na mnie do gubernatora, że bronię i ukrywam Jakutów, że ci grozili niby wyciąć wszystkich zesłańców w tej miejscowości; że on uciekł ze strachu; że Tatarzy nie spłonęli, a spalono ich... Czego tylko im naplótł... Rozumie się, głupstwo, nic nie zrobi...

Aleksander z przerażeniem wpatrywał się w twarz mordercy. Wydawał się obojętny: tylko ostatnie wyrazy urzędnika rozpaliły jakieś błyski w zielonawych źrenicach.

— Wyprowadzić go!...

Zadzwoniły kajdany i, popychany przez Jakutów, więzień wyszedł.

— Kanalja!... Oto jakie nasze życie! Nic nie wiesz, myślisz, żeś wszystko skończył i załatwił... Otóż nie!... Wyskoczy z pewnością jakiś figiel... Ile już razy w tym roku byłem tutaj z powodu tych kanalji!... A czyż my ich tu wysyłamy? I myśmy ludzie! Całą pensję w drodze wydaję.. Wielkanoc spędziłem poza domem, bez żony, bez dzieci.. I poco?... Umarli, zniknęli.. co komu z tego, że dowie się: jak i co?... Czy zmartwychwstaną? Prawda, znaleźli rzeczy; Pałkin wskazał ludzi... Dobrze, zgoda!... — zaczął zupełnie już cicho. — Czyż trudno splątać dzikiego Jakuta?... Sami się plączą... Rozpędzić i zrujnować gminę całą? A któż będzie płacił podatki?... I poco? jaki zysk?... Cóż, Aleksandrze Iwanowiczu, podpisuj pan! — zakończył, podsuwając Aleksandrowi protokół: »Jana Pałkina widziałem, ale z powodu ciasnoty miejsca noclegu odmówiłem«. — Imię i nazwisko... Hej, obiad dawać!... Panowie, spodziewam się, zjecie zemną obiad.

— Czy nie możnaby czasem, Inocenty Wasiljewiczu, i mojej sprawy dziś załatwić?... o ziemię — rzekł Aleksander, siadając do stołu. Zasiedatiel nalał mu kieliszek wódki.

— Moja rada, rzuć pan to! Wiem, że położenie wasze trudne, nawet do pewnego stopnia ciężkie, ale... krajowcy bardzo rozdrażnieni!... Nie radzę... Obiecują wzamian, że powiększą zapomogę... Wszyscy będą zadowoleni... Powody skarg zostaną usunięte — powiększą panu datek.

Twarz Aleksandra, pochylona nad talerzem, oblała się rumieńcem.

— Nie o to chodzi. Przeciwnie: ja chcę wyrzec się zupełnie jakuckiej zapomogi. Żądam stanowczo ziemi. Pisano mi z miasta, że pan masz na to odpowiednie rozporządzenie naczelnika okręgu.

— Tak! Więc zatem — urzędownie, — odrzekł oschle. — Dobrze! Kniaź! gdzie kniaź? — zawołał po jakucku.

Kniaź, który wraz z Jakutami obiadował przy drugim stole, zerwał się i wytarł usta.

— Słucham.

Stanął i uprzedzająco pochylił przed urzędnikiem swą okrągłą, krótko ostrzyżoną głowę.

— Co pan każe?

— Cóż ziemia dla.. tego pana?

— Podaliśmy do gubernatora — wymijająco odpowiedział Jakut.

— Słyszałem — przerwał Aleksander. — Ale to nie należy do rzeczy... Dajcie przedewszystkiem, co mi się należy, a później skarżcie się...

— Przywiózł córkę i trzyma towarzysza, który nie zapisany w naszej gminie.

— Co do córki... to głupstwa gadacie, ale co do Jakóba Stefanowicza przyszło istotnie rozporządzenie.

Kazał pisarzowi wyszukać rzeczony dokument i wręczył go Jakóbowi. Ten czytał długo, a ręka mu drżała. Rozkazywano wrócić natychmiast na wyznaczone miejsce pod groźbą hańbiącej kary.

Zasiedatiel unikał ich wzroku; książę uśmiechał się szyderczo.

— Widzicie, panowie — odezwał się zasiedatiel — jak to wszystko skomplikowane.. właśnie skomplikowane — powtórzył z zadowoleniem. — Wy głosicie zasady, mówicie, że ludzie są równi, więc... ot... Rozumie się, rozporządzenia nie wypełnię... Gdybyśmy prawo ściśle spełniali... aj! aj!... Ale kto za to odpowie, gdy spytają?... Cicho, spokojnie ja wiele mogę... Inaczej nie mogę nic... Im spokojniej, tem dla mnie lepiej... A skandale — wybaczyć proszę! Umywam ręce!. .

— W takim razie muszą być skandale. Dziwna rzecz, odmawiasz nam pan tego, co się nam z prawa należy, a chcesz dać ulgi na osobistą odpowiedzialność.

— A dlatego, widzi pan, że prawa nie dla panów są pisane... — odrzekł urzędnik z dwuznacznym uśmiechem.

— Na co to się gniewać — odezwał się kniaź pojednawczo, siadając na ławie w pobliżu Aleksandra. — Nie kłóciliśmy się Bogu dzięki, dotychczas, nie będziemy kłócić się i dalej. Myślę, że gmina zgodzi się na pańską prośbę, jeśli ona istotnie na prawie oparta, ale na co się spieszyć?... Na polach śnieg, do siewu daleko... W początkach wiosny będzie zebranie i wówczas rozpatrzymy ostatecznie pańskie pretensje... Czy zgoda? — zapytał, spoglądając na zasiedatiela. Ten potakująco kiwnął głową.

— Tak, tak... poczekaj pan do wiosennego zebrania, a teraz powiększą panu zapomogę... Obejdzie się wszystko bez hałasu, bez... kombinacji... z honorem!

Aleksander spojrzał na pobladłą twarz Jakóba i gorzko się uśmiechnął.

— Jak długo, Inocenty Wasiljewiczu, ma pan zamiar tu zabawić?

— Bóg to wiedzieć raczy, kiedy sprawy puszczą... Chciałoby się jak najprędzej .. za cztery, pięć dni... Nie wiem!

Do jurty wszedł dziesiętnik i szepnął coś księciu do ucha. Obecni poczęli z izby wychodzić. Pozostali tylko urzędnicy, książe, Aleksander i Jakób. Zasiedatiel patrzył na nich wyczekująco i gawędził od niechcenia. Domyślili się i wstali.

Zapadał zmierzch; droga była zła; by nie zbłądzić trzeba się było spieszyć, choć część jej przebyć przed nocą. Zgłodniały koń niósł ich chyżo. Milczeli cały czas Gdy stanęli u jurty Żabiego Oka noc już była czarna, jak sadze. Gdyby nie czerwone światło, migające w okienkach, nie byliby może dostrzegli niskiej budowli w ciemnościach Aleksander zajrzał do wnętrza przez okno, odkryte od strony obory. Żabie Oko był biedny i mieszkał wraz z bydłem. Przed dużym ogniem na niziutkim stołeczku siedziała Zosia zadumana, podparłszy główkę rączką. Przyjaciółka jej Maja stała z boku przed wielkim kotłem, napełnionym mlekiem i lekkiemi uderzeniami olbrzymiej warząchwi powstrzymywała kipienie płynu. Za każdym razem starannie oblizywała łyżkę, aby nic nie przepadło. Był to przywilej niemały dla jej wiecznie pustego żołądka, to też miała minę bardzo poważną i wydawała się przejęta swą rolą. Jej mała figurka, zaledwie przykryta łachmanami, gołe, cienkie rączki i smagła, miła twarzyczka z dużemi srebrnemi kolczykami w uszach rysowała się fantastycznie na granicach światła i cieniu. Żabie Oko siedział w głębi; z ciemności wyglądała tylko jego noga obuta w ostro-nosą »sanę«. Żony Żabiego Oka nie było widać, tylko gdzieś tam w kącie szeleściły wyprawiane przez nią skóry.

— Ojczulek!... tatuś!... — z krzykiem zerwała się Zosia, gdy Aleksander we drzwiach stanął.

IV.

— Cudzoziemcze!... a! — cudzoziemcze!... Wstrzymaj psa i nastaw czajnik!... — wołały ze śmiechem Jakutki, stukając do drzwi. Wewnątrz domu Ajaks szczekał wściekle, a Zosia płakała przestraszona.

Aleksandra nie było, szukał w gaju kawałka drzewa, potrzebnego do pługa. Lecz gdy pisk i krzyki przeszły we wrzask, któremu wtórowało ujadanie rozwścieczonego psa, przerażony przybiegł pędem do domu Drzwi zastał otwarte; dziewczyny na wysokiej przyzbie przytulone do ściany rękami chroniły odzież od zębów Ajaksa. Z za progu wyglądała zapłakana i rozciekawiona twarzyczka Zosi.

— Co wy tu robicie?

— Trzymaj psa!... psa!... przebrzydły człowieku! Czyż dobrzy ludzie tak gości przyjmują?... Pies o mało nas nie rozszarpał.

— Dlaczegożeście drzwi otworzyły, zbytnice!...

— A pocóś nie przychodził? Czy myślisz, żeśmy takie głupie? Nim otworzyłyśmy, wlazłyśmy na przyzbę. Pies zły, niech Bóg uchowa... U — u — u!.. Na co ci taki zły pies? Czy ty się kogo boisz?... Ja myślałam, że ty się nikogo nie boisz!...

Toj, mówiąc to, rozpięła kaftan, zdjęła z głowy czapkę i przysiadła na krawędzi ławy; towarzyszka jej nie rozbierała się wcale. Blade były od strachu, ale już się śmiały.

Aleksander rozniecił ogień i postawił czajnik.

— Co słychać, Toj?

— Nic nie słychać! Co ma być słychać? Jakób wyjechał; przejeżdżał mimo, widziałam. Co kłopotu robicie, nam, Jakutom, wy, ludzie południa!

— Znowu się co stało?

— Wciąż to samo: kręcą, mącą, zabierają ludzi... Co płaczu! oczy kobietom popuchły! Wszystkich ogadał osiedleniec. Syna starego Nochczogaja zupełnie zabrał zasiedatiel... Rzeczy u niego znaleziono. Zasiedatiel gniewa się, bardzo wódkę pije... Źle!

— Kiedy odjeżdża?

— Nie wiem. Piękną masz córkę, Liksandra. Czy podobna do matki? Prawda, włosy złote, a oczy, jak niebo... Nie bój się, dziewczynko, chodź do mnie! Myśmy z twym ojcem przyjaciele, choć on pan, a ja czarna Jakutka...

(C. d. n.).

Ze śląskiej ziemi.

I.

Niepowszedniej piękności krajobraz, szeroki i słoneczny, roztoczył się przed wzrokiem naszym, gdy — kierując się do ostatecznego celu podróży, do śląskiej wsi Istebnej, wyruszyliśmy w lipcowe popołudnie góralskim wózkiem z Milówki, stacji koleji transwersalnej, o parę mil od tej wioski położonej.

Droga, którą jedziemy, wyborna szosa, pnie się wciąż wyżej i wyżej, z każdą więc chwilą ramki krajobrazu rozsuwają się, nowe odsłaniając horyzonty, a rolę przewodnika po nieznanej okolicy pełni nasz woźnica, dziarski góral z Milówki. Zna on te wody, pola, lasy i góry równie dobrze, jak owe trzy morgi kamienistej roli, których jest szczęśliwym posiadaczem i z wesołą uprzejmością dzieli się teraz swemi wiadomościami. Ta oto rzeka, opita częstemi ulewami, hałaśliwa, szalona, którąśmy dopieroco minęli, — to Soła. Tam — na prawo, równoległe do drogi, w zachodnim biegnącej kierunku, pomyka dnem malowniczej doliny potok Szary, a nad jego wodami rozsiadła się wieś tej-że nazwy. Wdzięcznie, niby ptasie gniazdka, wyglądają zdaleka chaty, wsunięte pod konary drzew olbrzymich, co w lecie stroją wieś zieloną krasą, a w zimie dają jej osłonę przed zlatującemi z czoła gór wichrami.

Te góry, co ze wszystkich stron wolny ślą ku nam oddech, do rozmaitych należą grup: jedne z nich geografja zalicza do Karpat galicyjskich, inne do śląskich Beskidów, a jeszcze inne na węgierskiej piętrzą się stronie, ale — pomimo różnych nazw — posiadają one na oko charakter jednolity: znać, że to jedna wielka rodzina górska. Tam oto na północnym zachodzie, płaszczem świerkowego lasu otulona, stoi pograniczna Barania, rodzica królowej wód naszych, Wisły! Dalej strzela w niebo ostrym c z u p l e m Stożek, poza nim, zamykając z tej strony horyzont, legła olbrzymiem cielskiem bezleśna, legendowa Czantorja. W przeciwnym znowu kierunku, na południowej i wschodniej krawędzi doliny, w której się rozłożyła Milówka, stanęły na jej straży, jedna obok drugiej, niby zaproszone w kumy wróżki-olbrzymki, Zabawa, Sucha, Prusów, — tu bliżej nad miasteczkiem wychyla się niepokaźna, ale krwawej pamięci Oszetnica, zwana »do Szubienic«, miejsce kaźni całej bandy zbójników, dalej, górując dumnie nad otoczeniem, piętrzą się Wielka Sopotnia i Babia góra, a dokoła nich wiele innych zaćmionych mgłą oddalenia, lub jaśniejących wesołą zielenią zbóż.

Cudna okolica, — ale w tej chwili spojrzenia nasze i myśli przelotnie ślizgają się po niej, biegnąc najczęściej w jednym kierunku, w kierunku zachodnim ku granicznej Ochodzitej, po za którą ściele się już ziemia śląska, cel naszej podróży, naszych marzeń.

Ale, kto wie, czy ujrzymy dziś jeszcze »kwietne błonia, lasy, wody« starej piastowskiej dzielnicy, bo oto ponad szczytem Baraniej kłębią się czarne chmury i gnane wiatrem, pomykają szybko, gasząc w przelocie blaski na niebie i barwy na ziemi.

— Dycki od tej Baraniej przychodzą latoś ku nam psoty — mówi góral, spoglądając frasobliwie w kierunku zasępionej góry.

Jakoż przyszła i teraz — i to nie sama psota, ale i burza z nieodłącznym orszakiem wichrów, grzmotów, piorunów, które takie budzą w powietrzu echa, jak gdyby zaklęte przed wiekami w Czantorji wojsko porwało się nagle i przelatując ze szczytu na szczyt, pędziło w bój z tętentem kopyt końskich i hukiem dział. — O góry, śląskie góry! nie chmurzcie się tak posępnie, nie warczcie tak groźnie: nie obcy idą ku wam, a swoi — swoi chwałą przeszłości i sierocą dolą dni dzisiejszych bez blasku i sławy — swoi krwią i nadzieją!

Jesteśmy u stóp Ochodzitej. Burza przeleciała i umilkła, ale niebo nie zajaśniało pogodą. Przewalają się po niem czarne, ciężkie chmury, co — choć zwyciężone, poszarpane, rozbite, — nie chcą z pola ustąpić. Tylko tam, na zachodzie światło chwilowe święci trjumfy: tam — przebijając żałobną zasłonę, smuga słoneczna oblewa, jak na »Golgocie« Styki, tylko nie srebrnem, lecz purpurowem światłem — trzy krzyże, a lśniące dokoła na trawie krople deszczu w czerwone zamienia brylanty.

Szare, niskie, dotykające się wzajemnie wąskiemi ramiony, podobne raczej do tych, któremi zdobią groby nędzarzy, niż do przydrożnych, krzyże te — jak objaśnia góral — znaczą granicę między »Polską a Śląskiem«. — Osobliwsze słupy graniczne! Albo i nie! albo i nie! Jest-że owszem co właściwszego do oznaczenia dzisiejszych granic Polski, jak krzyż, symbol męczeństwa? I kształt i liczba tych niemych słupów wstrząsającą posiadają wymowę, a w sercu przechodnia-Polaka budzą ach, jakie światy wspomnień gorzkich, bolesnych, krwawych!

(C. d. n.). *Marja Wysłouchowa.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.